

JOE ALEX

PIEKŁO JEST
WE MNIE



BUKOWY LAS

Któż mógł przypuszczać, że ów lot tak się zakończy? Miała to być podróż dla przyjemności, dwa tygodnie wypoczynku okraszonego skromną, ale mile lehcącą próżnością uroczystością. Tak przynajmniej twierdził wydawca, na którego ręce przesłano zaproszenie. Utrzymane było ono w niezwykle uprzejmym, niemal serdecznym tonie i stało w nim, czarno na białym, że Klub Południowoafrykańskich Miłośników Powieści Kryminalnej będzie zaszczycony, jeśli pan Joe Alex zechce przybyć do Johannesburga, aby przyjąć doroczną nagrodę Klubu i podzielić się z jego członkami swymi doświadczeniami pisarskimi, a także – jeśli zechce, oczywiście – opowiedzieć o swoich planach na przyszłość. Prezydium Klubu będzie szczęśliwe, mogąc pokryć koszty przelotu i pobytu pana Alexa w Johannesburgu, gdzie niżej podpisani dołożą wszelkich starań, aby zapoznać gościa z miastem i jego pięknymi okolicami.

Tak, zapewne próżność odegrała pewną rolę w przyjęciu tego zaproszenia, lecz nie tylko. Działo się to w latach

pięćdziesiątych, gdy bardzo młody Joe Alex, wciąż jeszcze niedowierzący swej nagłej popularności, gotów był spełnić niejedno życzenie wydawcy tak szybko i sprawnie wypuszczającego na światło dzienne jego kolejne książki.

Wszystko to działo się w przededniu rewolucji, jaką spowodowało wprowadzenie silnika odrzutowego w lotnictwie pasażerskim, i lot z Londynu do Południowej Afryki trwał przeszło dobę. Lecz minął szybko, równie szybko, jak dwa tygodnie, które po nim nastąpiły.

I oto Joe znalazł się ponownie w porcie lotniczym Jan Smuts, gotów do odlotu. Był zmęczony. Przyjęcie poze-gnalne ciągnęło się aż do zmroku i trwałoby zapewne jeszcze, gdyby nie to, że godzina odlotu zbliżała się nieuchronnie i gość musiał opuścić zebranie.

Ale teraz było już po wszystkim. Joe wszedł do wielkiej oszklonej poczekalni, wskazał tragarzowi najbliższy stolik i opadł na fotel. Tragarz postawił obie jego walizki obok fotela, zerknął na banknot trzymany przez Alexa, wyjął mu go delikatnie z ręki, błysnął nieprawdopodobnie białymi zębami, kontrastującymi z jego czarną twarzą, zasalutował i odszedł, mówiąc, że powróci, kiedy zapowiedzą samolot do Londynu.

Joe zerknął na zegarek, westchnął i wyciągnął z bocznej kieszeni marynarki lokalną gazetę, którą kupił przy wejściu. Przez dłuższą chwilę przesuwiał wzrokiem po szpaltach, lecz pomimo rozpaczliwych wysiłków nie znalazł ani jednej wiadomości, która mogła go zainteresować choćby w najmniejszym stopniu.

Przymknął oczy i westchnął ponownie. Fala zmęczenia powracała, bardziej natrętna niż przed chwilą. Gdzieś daleko, za rozległą, cicho podzwaniającą taflą olbrzymiej szyby, zajmującej prawie całą ścianę poczekalni, nierówno grzmiały zapuszczone silniki wielkiego samolotu pasażerskiego. Noc rozciągnęła się już nad lotniskiem, za szybą migotały kolorowe światełka, a z lewej strony wpadał wielki blask zapalonych reflektorów na wieży kontrolnej.

– Za wiele było tego wina... – mruknął Alex cicho. Wydawało mu się, że przytłumiona vibracja silników wprawia w dygotanie wszystkie komórki znużonego mózgu. A mózg ten był już dostatecznie udręczony dwoma tygodniami nieprzemijającego upału, setkami zdawkowych rozmów z nieznanymi ludźmi, a nade wszystko mowami w czasie dzisiejszego pożegnalnego bankietu.

Na szczęście port lotniczy leżał dostatecznie daleko od miasta i udało mu się pozbyć wszystkich, którzy chcieli go odprowadzić, niemal wszystkich, gdyż prezes Klubu Południowoafrykańskich Miłośników Powieści Kryminalnej odwiózł go wprost z przyjęcia na lotnisko. Prezes był producentem regionalnych pamiątek, sprzedawanych przez rozrzuconą po całym kraju gęstą sieć sklepów. W drzwiach portu lotniczego zdążył jeszcze wsunąć Alexowi pięknie zapakowane pudełeczko i zniknął, przepraszając, że nie będzie towarzyszył gościowi do chwili odlotu. Wypił nieco zbyt wiele i chciał powrócić do miasta, zanim ruch samochodowy zmniejszy się.

Prawo w Południowej Afryce było niestety nieubłagane dla niezupełnie trzeźwych kierowców. Więc niech drogi mister Alex zechce mu wybaczyć...

Joe oczywiście zechciał wybaczyć i uściśnął wylewnie jego rękę, dziękując za gościnę, a kiedy prezes Klubu zniknął wreszcie, wsunął paczuszkę do kieszeni i ruszył ku poczekalni. Teraz sięgnął po pudełeczko, rozwinął papier i otworzył je. Wewnątrz była papierośnica obciążnięta szarą, chropowatą skórą słonia, a na niej wytłoczony złotymi literami napis: JOE ALEXOWI – KPAMPK.

Przez chwilę patrzył ze zdumieniem, nie mogąc pojąć, kim jest ów Kpampk, i starając się przypomnieć sobie nazwisko prezesa. Nagle spłynęło nań objawienie. Były to pierwsze litery nazwy Klubu. Obrócił papierośnicę w palcach, pomyślał z żalem o owym słoniu i wsunął ją do kieszeni.

Podeszła kelnerka, zamówił kawę i Coca-Colę i z nadzieją zaczął wsłuchiwać się w słowa, które spłynęły łagodnie z megafonu wypowiedane miękkiem kobiecym głosem. Ale głos zapowiedział samolot do Cape Town.

Minuty mijały. Kawa nie wróciła umysłowi świeżości, a lodowata cola nie przyniosła ciału ulgi. Nadal było gorąco, chociaż klimatyzowane wnętrza poczekalni wydawało się o wiele chłodniejsze niż świat na zewnątrz. Spojrzał na zegarek. Do odlotu brakowało jeszcze czterdziestu minut, ale kontrola paszportowa i celna w Unii Południowoafrykańskiej była dość dokładna. Do tego dojść musiał jeszcze czas potrzebny do zważenia

i przetransportowania bagażu podróżnych do samolotu. Megafon przemówił ponownie. Jeszcze jedna grupka pasażerów uniosła się z miejsc. Poczekalnia pustoszała. Być może samolot do Londynu był ostatnim startującym tego wieczora?

Joe ziewnął, zasłaniając usta trzymaną w ręce gazetą.

– Uwaga! – powiedział megafon. – Start samolotu do Nairobi–Addis Abeby–Kairu–Zurychu i Londynu będzie opóźniony, za co pragniemy przeprosić wszystkich udających się w tym kierunku. Gdy maszyna będzie gotowa do startu, pasażerowie zostaną natychmiast powiadomieni. – Głos był beznamiętny, uprzejmy i spokojny.

Alex, który uniósł się nieco, słysząc pierwsze słowa komunikatu, opadł z wolna na fotel i rozejrzał się leniwie.

Przy najbliższym stoliku, na wprost okna, siedziała zwrócona do niego profilem młoda, czarnowłosa i bardzo ładna kobieta, ubrana w prześliczny lekki kostium podróżny, który Alexowi nie spodobał się już na pierwszy rzut oka, tak jak nie spodobał mu się modny, maleńki czerwony kapelusik nasunięty nieco na bakier na małą kształtną główkę. Kapelusik ten był odrobinę zbyt czerwony, a kostium nieco zbyt obcisły, jak gdyby właścicielce jego zależało przede wszystkim na niezwłocznym ukazaniu każdemu, kto zechce spojrzeć, tego, czego dokładne określenie wymaga zwykle odrobiny wyobraźni. Joe pomyślał w duchu, że nigdy jeszcze nie widział dziewczyny, która wydawałaby się niemal naga, będąc tak dokładnie zakryta. Przy fotelu siedzącej, która

pięknymi długimi palcami opalanej dłoni przewracała leniwie kartki kolorowego ilustrowanego magazynu, stała niewielka elegancka walizka z czerwonej skóry, a Joe, choć przyznał w duchu, że przygląda się nieznamomej zbyt długo, pomyślał, że czerwona walizka także nie może uchodzić za przedmiot odwracający uwagę od swej właścicielki. Obok walizki spoczywał potężny jak sarkofag, okuty kufer-szafa, którego przewóz samolotem musiał kosztować co najmniej tyle, ile przewóz pasażera. Na kufrze leżała parasolka, cienka i lśniąca jak szpada. Przyglądając się czerwonym pantofelkom, Alex zastanawiał się przez chwilę, jaki może być zawód tej dziewczyny. Było w niej coś, co już na pierwszy rzut oka mówiło, że jest osobą samodzielną. Ale do tego niepotrzebny był zawód, wystarczyło mieć dość pieniędzy. Mimo to uznał, że najprawdopodobniej jest początkującą gwiazdeczką filmową albo śpiewaczką występującą w music-hallu. Dziewczyny te były w nieustannym ruchu, gdyż sam rodzaj ich pracy zakładał ograniczoną liczbę występów w jednym miejscu. Raz jeszcze przesunął z przyjemnością spojrzeniem po długich, smukłych nogach, zerknął niechętnie na czerwoną walizkę i przeniósł wzrok ku następnemu stolikowi.

Siedzący przy nim dwaj mężczyźni byli niemal równie interesujący jak młoda dama w czerwonym kapeluszu, co prawda żadnego z nich, przy najlepszych nawet chęciach, nie można było posądzić o nadmiar agresywnej urody, ale zdumiewające dysproporcje fizyczne pomiędzy nimi

przedstawiały widok godny zaciekawienia każdego przygodnego obserwatora. Zwrócony twarzą do Joego drzemał z głową odchyloną do tyłu i ciężko wspartą o oparcie fotela, wygodnie rozwalony ogorzwały młody człowiek o barach Herkulesa i czole kretyna. Musiał być ogromnego wzrostu, gdyż jego wyciągnięte nogi zdawały się sięgać prawie do następnego stolika. Krótkie jasne włosy, ostrzyżone na jeża, podkreślały geometryczną nieomal kulistość zaskakująco małej głowy osadzonej na potężnej, muskularnej szyi, wynurzającej się z kołnierzyka rozpiętej koszuli. Siedzący po jego lewej ręce człowieczek był ruchliwy jak jaszczurka, a jego bystre oczy, osadzone pod wypukłym czołem, nad którym przeświecała łysina sięgająca szczytu głowy, poruszały się czujnie, omiatając poczekalnię, jak gdyby ich posiadacz nie wiedział dokładnie, co spodziewa się zobaczyć, ale był zdecydowany nie przepuścić niczego, co mogłoby mieć jakiegokolwiek znaczenie. Od czasu do czasu oczy te zwracały się ku śpiącemu olbrzymowi. W pewnej chwili mały człowieczek sięgnął do kieszeni marynarki, wyciągnął szybkim ruchem wielką barwną chustkę i pochyliwszy się, wytarł z nieskończoną delikatnością pot z czoła drzemiącego wielkoluda, który nie drgnął nawet, jak gdyby był przyzwyczajony do tego rodzaju opieki i przyjmował ją jako coś najnaturalniejszego na świecie.

Joe uśmiechnął się mimowolnie. Jakiś atleta, zapaśnik albo, co było bardziej prawdopodobne, bokser. I jego trener oczywiście.

Przyglądał się jeszcze przez chwilę dwóm ogromnym dłoniom opartym bezwładnie na poręczach fotela. I pomyśleć, że są tacy, którzy bez zmrużenia oka wytrzymują uderzenia tak potężnych pięści, oddając cios za cios.

Przeniósł spojrzenie na lewo, ku bardziej odległemu stolikowi, gdzie siedział samotnie spokojny, spokojnie ubrany pan w nieokreślonym wieku, mogący mieć równie dobrze pięćdziesiąt, jak trzydzieści pięć lat.

„Anglik”, pomyślał Joe. Nie mógł się mylić. Najprawdopodobniej ma ukończony uniwersytet... Oxford albo Cambridge... nienaganne buciki... nienaganne życie, żadnych żartów z losem, umie odróżnić dobro od zła, może jest nawet dyrektorem szkoły dla chłopców...? Ale równie dobrze mógł być właścicielem solidnego antykwariatu albo uczonym...

Wzrok Alexa prześlizgnął się po nim obojętnie, rejestrując jedynie ciekawy szczegół tej postaci: niezwykle silnie powiększające okulary w czarnej rogowej oprawce. Człowiek z wolna odwrócił głowę i spojrzenia ich zetknęły się na króciutką chwilę. Alex dostrzegł ogromne, powiększone do zdumiewających rozmiarów wypukłością szkieł, jasnoniebieskie, niemal bezbarwne oczy. Później oczy te spojrzały na stolik, na którym leżał niewielki okrągły, czarny nesoser, podobny do pudła na kapelusze używanego przez elegantki na początku naszego wieku. Prawa dłoń siedzącego uniosła się i odruchowo odsunęła nesoser od krawędzi stolika.

Odwracając wzrok, Joe pomyślał z rozbawieniem, że w pudle tym mogłaby się swobodnie pomieścić odcięta ludzka głowa. Czy człowiek o takim wyglądzie mógłby być mordercą? Ależ tak, oczywiście! Świat nie znał powierzchowności, która wykluczałaby zbrodnię. Piękne, delikatne, kruche dziewczęta, poczciwe staruszki, jowialni oberżyści, duchowni o złożonych dłoniach i opuszczonych skromnie oczach. Nie było charakteru, zawodu, usposobienia ani powołania, które wykluczałyby możliwość zakiełkowania tej najczarniejszej z myśli: zmuszenia innej istoty ludzkiej, aby opuściła przed czasem ten najsympatyczniejszy ze światów.

Poczekalnia była już niemal pusta. W wielkiej, cichej przestrzeni niknęły nieliczne niewyraźne sylwetki drzemiących podróżnych. Kelnerka w pomarańczowym kitlu opasany białym fartuszkim rozmawiała półgłosem z barmanką przy wąskiej lśniącej ladzie, za którą widać było półki z szeregami różnokolorowych butelek. Wahałowe oszklone drzwi obok baru otworzyły się i zajrzało dwu czarnych tragarzy, a za nimi trzeci. Rozejrzeli się, sprawdzając najwyraźniej, czy w poczekalni pozostali jeszcze podróżni z większym bagażem i wycofali się na powrót.

Joe odwrócił głowę. Po prawej stronie, niemal pod ścianą, na której lekko podświetlone ogromne półkule ukazywały znajome kształty oblanych jasnobłękitną wodą kontynentów, siedziała kobieta mniej więcej pięćdziesięcioletnia. Była tak nieruchoma, że Joe, którego uwagę

przyciągnęły kolorowe świetlne punkciki na wielkiej mapie, dostrzegł ją dopiero wówczas, gdy wzrok jego powędrował ku biegunowi południowemu, znajdującemu się tuż nad jej głową. Była chyba Angielką: schludna, ubrana w prosty szary, dobrze skrojony kostium podróżny, zdawała się jedną z owych dam w nieokreślonym wieku, które można zawsze napotkać na pokładach transatlantyków i ostatnio coraz częściej, w kabinach międzykontynentalnych samolotów pasażerskich. Damy te – wdowy, stare panny albo matki dorosłych dzieci mieszkających na krańcach świata – podróżują z odwagą, przedsiębiorczością i orientacją, o której nie śniło się ich matkom, dając widomy dowód, że kobieta jest stworzeniem, o które nie należy przesadnie dbać, gdyż świetnie potrafi sobie radzić w życiu, jeśli się jej na to pozwoli.

Joe przypatrywał się jej przez chwilę dyskretnie, zastanawiając się, co widzi niezwykłego w tej tak bardzo zwykłej sylwetce. Coś było nie w porządku. Nagle zrozumiał. Jej bezruch! Siedziała zupełnie nieruchomo, w postawie, w której zwykłemu człowiekowi bardzo trudno wytrzymać dłużej niż przez chwilę. Była wyprostowana, głowę miała uniesioną i spoglądała w przestrzeń. Patrzył, czekając i wierząc, że musi wreszcie zmienić pozycję, ale trwała tak nadal, jak gdyby nie była żywą kobietą, ale modelem podróźnej wykonanym z wosku i posadzonym tu przez kogoś, kto chciał sobie zażartować z braku spostrzegawczości czekających w poczekalni pasażerów.

Wreszcie dał za wygraną i odwrócił głowę. To byli wszyscy. Raz jeszcze przesunął po nich z wolna wzrokiem i nie znajdując w sobie żadnej już, najmniejszej nawet potrzeby dodatkowych obserwacji, westchnął po raz nie wiadomo który i spojrział na trzymaną nadal w ręce gazetę. Przewrócił kilka stron i wrócił do tytułowej. Nagle dostrzegł u dołu kolumny znajomą twarz, a obok niej notatkę rozpoczynającą się od słów:

„Klub Południowoafrykańskich Miłośników Powieści Kryminalnej będzie dziś podejmował pożegnalnym obiadem powracającego do Anglii po dwutygodniowym pobycie w naszym kraju pana Joe Alexa, znanego autora książek kryminalnych, współpracującego równocześnie ze Scotland Yardem na polu nieustępliwej walki z przestępcami, zapewne obdarzonymi nieco mniejszą inwencją niż jego fikcyjni negatywni bohaterowie, lecz za to o dłoniach splamionych prawdziwą krwią niewinnych ofiar...”.

Joe przymknął oczy i zaklął w duchu. W tej samej chwili megafon przemówił, tym razem stanowczym, męskim głosem:

– Prosimy o uwagę! Samolot do Nairobi–Addis Abeby–Kairu–Zurychu i Londynu, który miał wystartować z naszego lotniska o godzinie dwudziestej drugiej czterdzieści pięć, odleci najprawdopodobniej z godzinnym opóźnieniem, za które jeszcze raz pragniemy przeprosić oczekujących pasażerów. Przyczyną opóźnienia jest gwałtowna burza i niezwykle silne, wiejące na dużych

wysokościach wiatry na trasie lotu. Te zaburzenia atmosferyczne przesuwają się dość szybko w kierunku wschodnim i jest nadzieja, że w ciągu najbliższych kilkunastu minut sytuacja zostanie wyjaśniona ostatecznie i samolot będzie mógł wystartować. Dziękuję.

Megafon ucichł.

Joe przymknął zmęczone powieki. Nagle pożałował, że leci do Anglii samolotem. Był przecież wolnym człowiekiem i mógł popłynąć statkiem, choć zabrałoby mu to wiele dni. Może stałby wreszcie teraz na pokładzie, wpatrując się w ledwie widoczne pośród mroku wybrzeża Afryki...? Wiatr niósłby od lądu woń dżungli zmieszaną z nieuchwytnym, a tak charakterystycznym zapachem podzwrotnikowego ciepłego morza. Blask lamp padałby z iluminatorów na ciemny pokład. Z głębi statku dobiegałyby przytłumione dźwięki orkiestry, niosąc się po łagodnych, oleistych, oświetlonych księżycem falach...

Wzruszył ramionami. Nie miał nigdy czasu na to, by używać innych środków komunikacji niż najszybsze.

W końcu godzinne opóźnienie nic nie znaczyło. Samolot nadrobi je z łatwością w czasie tak długiego lotu.

W tej samej chwili wielkie wahadłowe drzwi prowadzące z głównego hallu dworca drgnęły i ukazał się w nich tęgi, wysoki człowiek z parasolem w ręce i płaszczem przerzuconym przez ramię. Za nim, pchając lśniący, aluminiowy wózek, wsunął się czarny tragarz w białej bluzie. Na wózku leżała duża lotnicza walizka z płótna. Joe przymknął oczy. Otoczenie

przystało go w ogóle interesować. Po chwili, tuż obok siebie, usłyszał tubalny głos:

– Proszę postawić tutaj!

Otworzył oczy. Tragarz manewrował zręcznie wózkiem, wprowadzając go między stoliki, i zatrzymał się przy fotelu stojącym na wprost Alexa, gdzie tęgi podróżny zdążył już rzucić płaszcz i oprzeć parasol.

– Proszę tu wrócić, kiedy ogłoszą odlot samolotu do Londynu! – Głos podróżnego był zdyszany, jak gdyby po dużym niedawnym wysiłku.

– Dobrze, proszę pana.

Tragarz zdjął walizkę z wózka i pchając go przed sobą, skierował się ku drzwiom, a otyły człowiek, nie siadając, ruszył w stronę baru.

– Dobry wieczór, panno Rose! – powiedział, nadal nie zniżając głosu. – Podwójną whisky! Szkocką! Nic innego mnie nie uspokoi! Taksówka miała defekt już za miastem. Proszę sobie wyobrazić coś podobnego! Byłem niemal pewien, że się spóźnię! Wpadam tu i pędzę prosto do kontroli paszportów. „Prędko, na miłość boską!”, wołam do młodego człowieka w mundurze, a on na to: „Dokąd się pan tak spieszy?”. „Samolot!”, mówię mu na to, „Samolot do Londynu! Za chwilę odlot, spóźniłem się, bo miałem defekt auta, ale jeszcze chyba zdążę, jeżeli przestanie mi pan zadawać nonsensowne pytania!”. A on na to: „Samolot jest opóźniony. Wezwą pana przez megafon razem z innymi pasażerami, kiedy przyjdzie czas. Niepotrzebnie się pan denerwuje”. Myślałem, że ducha

wyzionę z wściekłości. Biegłem do niego przez całą halę, wlokąc za sobą walizkę, bo nie chciałem tracić czasu na wzywanie tragarza. Zresztą żaden z nich nie podejdzie z własnej inicjatywy! Dopiero kiedy odwróciłem się i zacząłem ocierać pot z czoła, znalazł się któryś z wózkami. Są już za delikatni, żeby wziąć walizkę do ręki! A ten goguś w mundurze powiada mi: „Niepotrzebnie się pan spieszył!”. Jak gdybym mógł z góry wiedzieć, że ten przeklęty samolot nie ma zamiaru odlecieć w oznaczonym czasie?!

– Pańska whisky, panie Knox! – powiedziała barmanka z uśmiechem, podsuwając mu szklaneczkę. – To naprawdę paskudna przygoda. Całe szczęście, że teraz już nie musi się pan spieszyć. Czy dać coś zimnego? Pepsi albo wodę sodową?

– Nie, nic. Dziękuję, kochanie!

Alex znowu przymknął oczy. Usłyszał odległy brzęk monety padającej na ladę i prawie równocześnie ciche „Dziękuję bardzo!” barmanki, a później nastąpiła cisza, w której wyraźnie rozległy się coraz bliższe, powolne kroki człowieka posuwającego się w jego stronę. Uniósł powieki. Otyły pan szedł w kierunku swej walizy, niosąc ostrożnie whisky w wyciągniętej ręce. Zbliżywszy się, postawił płyn na stoliku, opadł ciężko na krzesło, znów ujął szklanekę i uniósłszy ją ku wargom, wypił całą zawartość duszkiem, nie odrywając szkła od ust. Później odetchnął głęboko i uniósł oczy. A wtedy spojrzenia jego i Alexa spotkały się.

– Nic tak dobrze nie robi w chwilach zdenerwowania – powiedział grubas niemal przepaszająco i dotknął końcami palców krawędzi pustej szklanki, jak gdyby chcąc wyjaśnić, co ma na myśli.

– Zapewne – powiedział Joe, żeby coś odpowiedzieć. Był przekonany, że nieznajomy zajmie się teraz swoimi sprawami, ale omylił się. Choć grubas nie usiadł przy jego stoliku, jednak znajdowali się naprzeciw siebie tak blisko, że trudno było go nie dostrzec, jeśli chciał być widzianym, a co gorsza słyszonym.

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

JOE ALEX

ZBRODZIA PONAD CHMURAMI

Na pokładzie samolotu lecącego z Johannesburga do Londynu dokonano morderstwa. Jednym z pasażerów jest Joe Alex, który rozpoczyna śledztwo. I to niełatwe, bowiem w czasie gdy popełniono zbrodnię, pasażerowie spali. Samolot wciąż jest w powietrzu, Alex ma więc pewność, że morderca kryje się w gronie obecnych na pokładzie osób, a są wśród nich: przedstawiciel handlowy kopalni diamentów, bokser wraz z trenerem, antropolog i młoda kobieta. A także pasażer, który wsiadł do samolotu w ostatniej chwili...

JOE ALEX. Pod tym pseudonimem tworzył Maciej Słomczyński, który przetłumaczył wszystkie dzieła Williama Shakespeare'a. Autor przekładów literatury światowej, m.in. *Ulisses*a Jamesa Joyce'a. Twórca powieści sensacyjnych i kryminalnych.



bukowylas.pl

Cena: 39,90 zł